KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Oscar Wilde

Upiór z Canterville

Oscar Wilde

UPIÓR Z CANTERVILLE

Konwersja:

I

Kiedy pan Hiram B. Otis, amerykański minister, nabywał Canterville Chase, wszyscy go ostrzegali, że popełnia czyn lekkomyślny, gdyż nie ulegało wątpliwości, że posiadłość ta była nawiedzana przez duchy.

W rzeczy samej, nawet lord Canterville, który poczucie honoru posuwał do granic drobiazgowości, uważał za swój obowiązek zapoznać z tym faktem pana Otisa przy ustalaniu warunków kupna i sprzedaży. — My sami nie chcieliśmy tam mieszkać — mówił lord Canterville — odkąd moja cioteczna babka, wdowa po księciu Bolton, dostała wstrząsu nerwowego, a to na skutek przestrachu, jakiego doznała, gdy dwie ręce szkieletu spoczęły na jej ramionach w chwili, kiedy przebierała się, by zejść na obiad. Czuję się w obowiązku powiedzieć panu, panie Otis, że kilku żyjących członków mojej rodziny widziało ducha, widział go także proboszcz parafii, wielebny Augustus Dampier, który jest członkiem King's College w Cambridge. Po nieszczęśliwym wydarzeniu z księżną nikt spośród młodszej służby nie chciał u nas pozostać, a lady Canterville prawie nie mogła sypiać po nocach z powodu tajemniczych szmerów, dochodzących z korytarza i z biblioteki.

— Milordzie — odpowiedział minister — nabywam meble z dobrodziejstwem inwentarza, a więc z duchem. Pochodzę z nowoczesnego kraju, w którym mamy wszystko, co się da kupić za pieniądze; a przy rzutkości naszych młodych obywateli, którzy malują Stary Świat na czerwono i wywożą wasze najlepsze aktorki i prymadonny, twierdzę, że gdyby jakiś duch istniał w Europie, mielibyśmy go w krótkim czasie u siebie, bądź w którymś z państwowych muzeów, bądź w objazdowym cyrku.

— A jednak obawiam się, że duch istnieje — rzekł uśmiechając się lord Canterville. — Może potrafił oprzeć się propozycjom waszych przedsiębiorczych impresariów. Jest on zjawiskiem znanym od trzech wieków, a ściśle biorąc, od roku 1584. Ukazuje się zawsze przed śmiercią któregoś z członków naszej rodziny.

— No, podobnie postępuje lekarz domowy. Duchy nie istnieją, lordzie Canterville, i śmiem twierdzić, że prawa natury nie ulegają zawieszeniu na użytek arystokracji angielskiej.

— Wy w Ameryce odnosicie się do wszystkiego bardzo naturalnie — odparł lord Canterville, który niezupełnie uchwycił znaczenie ostatniej uwagi pana Otisa. — Skoro panu duch krążący po domu nie przeszkadza, to wszystko w porządku. Ale proszę pamiętać, że uprzedziłem pana.

W parę tygodni później kupno zostało dokonane i pan minister z rodziną udał się pod koniec sezonu do Cantendlle Chase. Pani Otis, poprzednio panna Lukrecja R. Tappan z West-53 Street, słynęła w swoim czasie jako nowojorska piękność i teraz jeszcze, będąc osobą w średnim wieku, zachowała niezwykłą urodę: bardzo ładne oczy i wspaniały profil. Wiele Amerykanek, opuszczając kraj rodzinny, przybiera pozę kobiet chronicznie niedomagających, gdyż wyobrażają sobie, że to nadaje im pozory europejskiego wyrafinowania. Pani Otis nigdy nie popełniła tego błędu. Świetnie zbudowana, posiadała wprost zdumiewającą tężyznę i prymitywną radość życia. Pod wielu względami przypominała angielskie panie, potwierdzając przez to fakt, że mamy dziś rzeczywiście wszystkie wspólne cechy z Amerykanami, oczywiście z wyjątkiem języka. Starszy jej syn, ochrzczony imieniem Washingtona w chwili przypływu uczuć patriotycznych rodziców, czego chłopiec nie mógł odżałować, był jasnowłosym, dość przystojnym młodzieńcem, który przygotowywał się do roli amerykańskiego dyplomaty, oprowadzając przez trzy sezony Niemców po Newport Casino, później zaś, w samym Londynie zdobył sobie sławę doskonałego tancerza. Jedyną jego słabością były gardenie i

cichy kult dla tytułu para. Poza tym cechował go ogromny (rozsądek.

Miss Wirginia H. Otis była piętnastoletnią dzieweczką, śliczną i zgrabną jak młody jeleń, z pełnym wdzięku otwartym spojrzeniem wielkich, błękitnych oczu. Była również świetną amazonką. Pewnego razu ścigała się na swym kucu ze starym lordem Biltonem i okrążywszy dwukrotnie park wyprzedziła go o półtora stajania przed samym posągiem Achillesa, ku niezmiernemu zachwytowi młodego księcia Cheshire, który natychmiast się oświadczył i został tego samego wieczoru odesłany przez swoich opiekunów do Eton, co nie obyło się bez strumieni łez.

Po Wirginii następowały bliźnięta, tak zwane w rodzinie „gwiazdy i pasy", gdyż często bywały zdzielane pasem — rozkoszne chłopaki i jedyni, z wyjątkiem osoby samego ministra, prawdziwi republikanie w rodzinie.

Ponieważ Canterville Chase znajduje się w odległości siedmiu mil od najbliższej stacji kolejowej Ascot, pan Otis telegrafował o konie i przejażdżka rozpoczęła się w nastroju jak najweselszym. Cudowny lipcowy wieczór przesycony był delikatną wonią sosen.

Od czasu do czasu Otisowie słyszeli gruchanie dzikiego gołębia, jakby urzeczonego słodyczą własnego głosu, lub dostrzegali wśród szeleszczących paproci lśniącą pierś bażanta. Z przydrożnych brzóz małe wiewiórki spoglądały na jadących, a króliki zmykały na ich widok przez zarośla i mszyste wzgórza, zadzierając białe ogonki. Jednakże, kiedy powóz skręcił w aleję Canterville Chase, niebo pokryło się chmurami i w atmosferze zawisła dziwna cisza. Nad głowami podróżnych przeleciało bezszelestnie wielkie stado gawronów, a zanim dojechali do domu, spadły na ziemię wielkie krople dżdżu.

Na schodach przy wjeździe czekała na nich stara kobieta, schludnie ubrana w czarną jedwabną suknię, w biały czepek i fartuszek. Była to gospodyni, pani Umney, którą pani Otis na usilne naleganie lady Canterville zgodziła się zatrzymać na tym samym stanowisku. Wysiadającym z powozu złożyła niski

ukłon i staroświeckim zwyczajem wypowiedziała uprzejme słowa: „Witam państwa w Canterville Chase.” Prowadzeni przez nią przeszli przez piękną sień, pamiętającą czasy Tudorów, do długiej, nisko sklepionej biblioteki, wykładanej drzewem z czarnego dębu, z dużym witrażem w głębi. Tu czekała ich zastawa z herbatą. Zrzuciwszy okrycia rozsiedli się i poczęli rozglądać, podczas gdy pani Umney krzątała się, usługując im.

W pewnej chwili pani Otis dostrzegła na podłodze, koło kominka, wyblakłą, czerwoną plamę i nie zdając sobie sprawy z jej pochodzenia, zwróciła się do pani Umney:

— Coś się tu chyba rozlało.

— Tak, pani — odrzekła cichym głosem stara gospodyni — krew była rozlana w tym właśnie miejscu.

— Okropność! — zawołała pani Otis. — Nie życzę sobie śladów krwi w pokoju bawialnym. Trzeba to natychmiast usunąć.

Staruszka uśmiechnę. Ta się i odrzekła tym samym przyciszonym, tajemniczym głosem:

— To krew lady Eleonory de Canterville, która w tym miejscu została zamordowana przez swego męża, sir Simona de Canterville, w 1575 roku. Sir Simon przeżył ją o dziewięć lat i nagle znikł w bardzo tajemniczych okolicznościach. Nigdy nie odnaleziono ciała, ale jego występny duch straszy do dziś dnia w tym domu. Wielu turystów i innych osób podziwiało tę plamę, której niczym nie można usunąć..

— Cóż za niedorzeczność! — zawołał Washington Otis — płyn Pinkertona do wywabiania rdzy, a także pasta Paragona usuną to w jednej chwili — i zanim przerażona gospodyni zdążyła temu zapobiec, rzucił się na kolana i począł trzeć posadzkę małą pałeczką, wyglądającą na jakiś czarny kosmetyk. Po chwili nie było już śladu krwawej plamy.

— Wiedziałem, że Pinkerton zrobi swoje! — wykrzyknął triumfalnie, wodząc oczyma po członkach rodziny przyglądającej się mu z zachwytem; ledwo jednak wymówił te słowa, okropna błyskawica rozświeciła mroczną komnatę i

przeraźliwy huk piorunu poderwał wszystkich na nogi. Pani Umney zemdlała.

— Cóż za potworny klimat! — zauważył spokojnie amerykański minister. — Widocznie stary kraj jest tak przeludniony, że nie może zapewnić wszystkim przyzwoitej pogody. Zawsze byłem zdania, że dla Anglii jedynym wyjściem jest emigracja.

— Drogi Hiramie! — zawołała pani Otis. —Cóż my poczniemy z kobietą, która mdleje?

— Odlicz jej to z pensji jako zawinioną szkodę, a przestanie mdleć — odparł minister.

I rzeczywiście pani Umney po chwili przyszła do siebie, nie było jednak wątpliwości, że została głęboko wstrząśnięta. Z surową powagą przestrzegała pana Otisa, żeby się wystrzegał, bo domowi grozi jakieś nieszczęście.

— Widziałam tu na własne oczy — mówiła — takie sprawy, od których człowiekowi włosy powstają na głowie, a przez wiele, wiele nocy nie zmrużyłam oka z powodu strasznych rzeczy, jakie się tu działy.

Jednakże, gdy pan Otis i jego żona gorąco zapewnili zacną niewiastę, że nie boją się duchów, stara gospodyni, poleciwszy Opatrzności boskiej swego nowego pana i panią, a także napomknąwszy o podwyższeniu pensji, poczłapała do swego pokoju.

II

Burza szalała przez całą noc, ale poza tym nie wydarzyło się nic szczególnego. Jednakże nazajutrz rano nowi właściciele zszedłszy na śniadanie ujrzeli w tym samym miejscu na podłodze tę samą okropną plamę krwi.

— Nie przypuszczam, aby to była wina mego wywabiacza plam — oświadczył Washington — gdyż stosowałem go w różnych wypadkach. To musi być sprawka ducha.

To mówiąc powtórnie wytarł plamę z posadzki, niemniej plama nazajutrz znowu się pokazała. Zjawiła się po raz trzeci następnego poranka, jakkolwiek pan Otis własnoręcznie zamknął bibliotekę na klucz i klucz zabrał do siebie na górę. Cała rodzina była teraz mocno zaciekawiona: pan Otis począł podejrzewać, że zbyt dogmatycznie przeczył istnieniu duchów, pani Otis wyraziła chęć wstąpienia do Towarzystwa Metapsychieznego, a Washington wystosował długi list do panów Mayers and Podmore na temat nieustępliwości śladów krwi pochodzących z dokonanej zbrodni. Następna noc rozwiała raz na zawsze wątpliwości dotyczące obiektywnego istnienia zjawisk nadprzyrodzonych.

Gdy po ciepłym i słonecznym dniu nastał chłodny wieczór, cała rodzina wybrała się na przejażdżkę. Powróciwszy do domu dopiero o dziewiątej wszyscy zasiedli do lekkiej wieczerzy. Rozmowa nie obracała się bynajmniej około duchów, nie wytworzyły się więc warunki sprzyjające zaostrzeniu się wrażliwości i stanu wyczekiwania, jaki często poprzedza pojawienie się nadprzyrodzonych zjawisk. Poruszano tylko takie tematy, jak mi to później opowiadał pan Otis, które występują zwykle w rozmowach kulturalnych Amerykanów z wyższych klas społecznych. Mówiono więc o niezmiernej

wyższości talentu aktorskiego miss Fanny Davenport nad Sarą Bernhardt, o trudności zakupienia kukurydzy tudzież ciastek z gryczanej lub kukurydzianej mąki nawet w najlepszych sklepach angielskich; o poważnej roli, jaką odgrywa Boston w duchowym rozwoju świata; o pożyteczności systemu kwitów bagażowych dla podróżujących koleją, wreszcie o wdzięcznym brzmieniu nowojorskiego akcentu w porównaniu z bełkotem londyńskim. Nie było wzmianki o rzeczach nadprzyrodzonych, nie wspomniano też ani słowem o osobie sir Simona de Canterville. O jedenastej wszyscy się rozeszli, a o wpół do dwunastej wszystkie światła zagasły. Po pewnym czasie pan Otis ocknął się, zbudzony dziwnymi odgłosami dochodzącymi z korytarza przylegającego do jego pokoju. Brzmiało to jak szczęk metalu i z każdą chwilą zdawało się przybliżać. Zerwał Się od razu, zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. Ten wskazywał dokładnie godzinę pierwszą. Pan Otis był zupełnie spokojny i zbadawszy swoje tętno stwierdził, iż nie było wcale przyśpieszone. Dziwny odgłos nie ustawał, a jednocześnie słychać było wyraźnie stąpanie. Minister nasunął pantofle, wyjął z neseseru podłużny flakonik i otworzył drzwi. W bladym świetle księżyca ujrzał wprost naprzeciw siebie starca o przerażającym wyglądzie. Oczy jego były czerwone jak żarzące się węgle, długie, siwe włosy spływały mu na ramiona na kształt poskręcanych lin; odzież staromodnego kroju była zbrukana i podarta jak łachman, a z przegubów rąk zwisały ciężkie kajdany i zardzewiałe okowy.

— Drogi panie — odezwał się pan Otis — muszę stanowczo prosić pana o naoliwienie tych łańcuchów. Przynoszę w tym celu flaszeczkę smaru, który zwie się Tammany Rising Sun Lubricator. Ma być niezawodnie skuteczny już po pierwszym użyciu i są na to świadectwa, wypisane na etykiecie, a wystawione przez kilku naszych znakomitych wróżów krajowych. Postawię tę flaszeczkę na pański użytek tu, obok świec, i zawsze chętnie dostarczę panu większej ilości w razie potrzeby.

Na chwilę duch Canterville'u zastygł w bezruchu pod wpływem zrozumiałego oburzenia, po czym, cisnąwszy gwałtownie flakonik na wyfroterowaną posadzkę, począł uciekać wzdłuż korytarza, rozsiewając dokoła swej osoby okropne zielonawe światło i wydając głuche jęki. W chwili jenakże, gdy dobiegał do szczytu szerokich, dębowych schodów, drzwi z naprzeciwka stanęły otworem, wyskoczyły z nich dwie biało odziane figurki i ogromna poduszka przeleciała ze świstem nad głową ducha. Nie było oczywiście czasu do stracenia, toteż, wybrawszy czwarty wymiar przestrzeni jako środek ucieczki, duch Canterville'u zniknął za futryną i w domu zapanował całkowity spokój.

Gdy wreszcie znalazł się w małej, ukrytej komnacie, znajdującej się w lewym skrzydle, duch chcąc nabrać tchu wsparł się o smugę księżycowego światła i usiłował zdać sobie sprawę ze swego położenia. Nigdy w swej świetnej karierze, nie przerwanej od trzystu lat, nie został znieważony w tak grubiański sposób. Przypominał sobie kolejno księżnę-wdowę, którą był tak przeraził, gdy w swych koronkach i diamentach przeglądała się w zwierciadle, że upadła nieprzytomna, cztery pokojówki, które dostały ataków histerii ujrzawszy go w jednym z pustych pokoi sypialnych uśmiechającego się do nich szyderczo zza kotary, także proboszcza miejscowej parafii, któremu zgasił świecę,, gdy ten późnym wieczorem powracał z biblioteki i który od tej pory musiał zawsze pozostawać pod opieką sir Williama Gulla, istny męczennik trapiony nerwowymi zaburzeniami. Przypomniała mu się również madame de Tremouillac, która pewnego rana, zbudziwszy się wcześnie, zobaczyła kościotrupa siedzącego przed kominkiem w fotelu i czytającego jej diariusz. Przeleżała potem sześć tygodni chora na zapalenie mózgu, a po wyzdrowieniu pojednała się z Kościołem, zrywając wszelkie stosunki z tym osławionym sceptykiem, monsieur de Voltaire. Przypomniał sobie okropną noc, kiedy to znaleziono złego lorda Canterville w jego ubieralni, dławiącego się niżnikiem dzwonkowym, który ugrzązł mu w pół gardła. Przed samą śmiercią nieszczęsny lord

wyznał, że przy pomocy tej samej karty oszukał Karola Jamesa Foxa na pięćdziesiąt tysięcy funtów w Crockford i przysięgał, że to duch kazał mu ją połknąć. Wszystkie wielkie dokonane dzieła ożywały teraz w pamięci sir Simona, począwszy od śmierci kredencerza, który zastrzelił się w kredensie po zobaczeniu w oknie zielonej ręki stukającej w szybę, a skończywszy na pięknej lady Studfield, która musiała zawsze nosić czarną aksamitną przepaskę na szyi dla ukrycia wypalonych na jej białej skórze znaków pięciu palców, co doprowadziło ją w końcu dq utopienia się w sadzawce przeznaczonej do hodowli karpi. Z tym egotyzmem, pełnym entuzjazmu, który cechuje prawdziwego artystę, sir Simon wyliczał w pamięci swe najsłynniejsze występy i uśmiechał się gorzko przypominając sobie swe ostatnie pojawienie się w postaci „Czerwonego Rubena, czyli Strzygi", swój debiut jako „Gaunt Gibeon, czyli Wampir z Bexley Moor", tudzież furorę, jaką wywołał w pewien samotny wieczór czerwcowy, grając w kręgle własnymi kośćmi na tenisowym placu. Ą po tym wszystkim wtargnęli tu jacyś zakazani, nowocześni Amerykanie, którzy podsuwają mu Rising Sun Lubricator i ciskają mu poduszki na głowę! To było nie do zniesienia. Nigdy, od zarania dziejów, żaden duch nie był traktowany w taki sposób. Postanowił pomścić zniewagę i w głębokim zamyśleniu przesiedział tak aż do świtu.

III

Zeszedłszy nazajutrz rano na śniadanie rodzina Otisów roztrząsała przez czas dłuższy zagadnienie ducha. Pan minister Stanów Zjednoczonych był oczywiście trochę nierad, że jego prezent nie został przyjęty.

— Nie mam zamiaru — mówił — wyrządzać duchowi jakiejkolwiek osobistej krzywdy, a zważywszy, jak bardzo dawno w tym domu przebywa, nie uważam, aby obrzucanie go poduszkami było rzeczą właściwą. — Tu muszę z żalem stwierdzić, że ta słuszna uwaga wywołała wybuch śmiechu u bliźniaków. — Jednakże — dodał — jeśli on naprawdę odrzuci mój Rising Sun. Lubricator, będziemy musieli odebrać mu te łańcuchy. Inaczej niepodobna będzie zasnąć przy takim hałasie pod samymi drzwiami sypialni.

Reszta tygodnia upłynęła jednak spokojnie i jedyną rzeczą, która zwracała uwagę, było nieustanne odnawianie się krwawej plamy na posadzce w bibliotece. Wydawało się to tym dziwniejsze, że pan Otis co wieczór zamykał drzwi na klucz, a okna były szczelnie okratowane. Wiele komentarzy wywoływała także ustawiczna zmiana koloru tej plamy. Niczym kameleon, jednego rana przybierała przyćmioną szkarłatną, barwę (niemal indygo), nazajutrz jaskrawo czerwoną, to znów przepysznie purpurową, a pewnego razu, gdy cala rodzina zeszła do biblioteki na pacierz (odmawiany według prostego rytuału, . jaki nakazuje Wolny: Amerykański. Reformowany Kościół Episkopalny), ujrzała na podłodze plamę jaskrawo zieloną jak szmaragd. Te kaleidoskopiczne zmiany bawiły oczywiście całą kompanię i zakładano się co wieczór na ten temat. Jedyną osobą, która nie brała udziału w zabawie, była mała Wirginia. Z niewytłumaczonych: przyczyn widok krwawej

plamy przygnębiał ją niezmiernie, a w dniu, w którym ta plama przybrała barwę szmaragdową, dziewczynka o mało nie zaczęła płakać.

Ponowne ukazanie się ducha wydarzyło się w niedzielę wieczorem. Ledwo wszyscy położyli się spać, zbudził ich znienacka straszliwy łoskot w sieni. Zbiegłszy na dół ujrzeli, że ogromna stara zbroja oderwała się od swojej podstawy i runęła na kamienną podłogę, w krześle zaś o wysokim oparciu siedział duch Canterville'u i rozcierał sobie kolana z wyrazem okrutnej męki na twarzy. Bliźniacy, uzbrojeni w dziecinne wiatrówki, strzelili doń bez namysłu dwiema kulkami z dokładnością, jakiej nabywa się jedynie po, długiej i mozolnej praktyce w mierzeniu do mistrza kaligrafii, podczas gdy minister Stanów Zjednoczonych, celując doń z rewolweru, zażądał zgodnie z kalifornijską etykietą, by duch podniósł ręce do góry! Ten zerwał się z wściekłym okrzykiem i przesunął się przez nich na kształt mgły, gasząc w przelocie świecę trzymaną przez Washingtona, co pozostawiło wszystkich zebranych w zupełnej ciemności. Znalazłszy się na górze nad schodami oprzytomniał i postanowił użyć swej sławnej sztuczki:, wybuchu piekielnego śmiechu. W wielu okolicznościach okazała się ona bardzo skuteczna. Sprawiła, sądząc z opowiadań, że lord Raker osiwiał w ciągu jednej nocy, zaś trzy nauczycielki Francuzki porzuciły pracę u lady Cantearville nie czekając upływu miesiąca. Sir Simon zarechotał więc teraz najokropniejszym swym śmiechem, który raz po raz rozlegał się pod starym sklepieniem, ale zaledwie przebrzmiało to przerażające echo, jakieś drzwi się otworzyły i wysunęła się z nich pani Otis w bladoniebieskim szlafroku.

— Obawiam się — rzekła — że pan czuje się niezdrów, przyniosłam więc panu flaszeczkę mikstury doktora Dobella. Jeśli to niestrawność, lekarstwo okaże się znakomite.

Duch obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i już gotował się do nowej przemiany, mianowicie do przeobrażenia się w ogromnego czarnego psa. Tej to sztuce, której słuszną zawdzięczał sławę, domowy lekarz przypisywał nieuleczalne

zidiocenie dostojnego Tomasza Hortona, wuja lorda Canterville'a. Jednakże słysząc odgłos zbliżających się kroków sir Simon zachwiał się w swym okrutnym postanowieniu, poprzestał na przybraniu postaci lekko fosforyzującej i z głębokim, grobowym jękiem rozwiał się w chwili, gdy bliźniaki miały go dopaść.

Znalazłszy się w swej komnatce załamał się i poddał gwałtownemu wzburzeniu. Prostactwo bliźniaków, gruby materializm pani Otis były niewątpliwie rzeczą niezmiernie dokuczliwą, lecz najboleśniej ugodziło go to, że okazał się niezdolny do noszenia kolczugi. Żywił nadzieję, że nawet nowocześni Amerykanie doznają wstrząsu na widok upiora w zbroi, jeśli nie z innych powodów, to przez szacunek dla swego narodowego poety, Longfellowa, nad którego wdzięcznymi i pociągającymi utworami on sam spędzał nieraz długie godziny, korzystając z nieobecności Canterville'ów, gdy wyjeżdżali do miasta. Po wtóre, była to jego własna zbroja. Nosił ją z powodzeniem na turniejach w Kenilworth i otrzymał za nią wysoką pochwałę z ust nie byle jakich, bo z ust samej królowej-dziewicy. A teraz oto, gdy naciągał tę zbroję, został całkowicie obezwładniony ciężarem wielkiego napierśnika i stalowego hełmu, wskutek czego osunął się ciężko na kamienną podłogę, obcierając boleśnie kolana i kalecząc sobie kostki w przegubie prawej ręki.

Przez parę dni po tym wypadku ciężko chorował i jeśli wydalał się ze swego pokoju, to jedynie po to, by utrzymać krwawą plamę w należytym stanie. Dzięki rozsądnemu dbaniu o siebie powrócił jednak do zdrowia i postanowił pokusić się po raz trzeci o nastraszenie ministra Stanów Zjednoczonych oraz jego rodziny. Wybrał na ten cel piątek siedemnastego sierpnia i większą część tego dnia spędził na przeglądaniu swojej garderoby. W końcu wybór jego padł na wielki kapelusz, ozdobiony czerwonym piórem i nasuwany na pczy, na całun namarszczony dokoła przegubów i szyi tudzież na zardzewiały sztylet. Pod wieczór zerwała się gwałtowna burza z deszczem, a wiatr był tak porywisty, że wszystkie drzwi i okna starego domu

trzęsły się i klekotały. Taką właśnie pogodę najbardziej lubił. Jego plan działania był następujący. Miał cichutko wejść do pokoju Washingtona Otisa i stanąwszy w nogach jego łóżka wymamrotać jakieś niezrozumiałe słowa, po czym trzykrotnie pchnąć się sztyletem w gardło przy dźwiękach ściszonej muzyki. Do młodego człowieka czuł szczególną niechęć, wiedząc dobrze, że to on uporczywie wywabia krwawą plamę za pomocą płynu Pinkertona i pasty Paragona. Postanowił więc wzbudzić w tym bezmyślnym śmiałku uczucie nikczemnego strachu, a potem, zakradłszy się do pokoju ministra Stanów Zjednoczonych i jego żony, położyć oślizłą rękę na jej czole, a w ucho jej męża, drżącego z przerażenia, szeptać syczącym głosem ohydne sekrety, jakie kryje kostnica. Co do małej Wirginii duch nie powziął jeszcze wyraźnej decyzji. Nie uczyniła mu nigdy żadnej zniewagi, a była ładna i miła. Parę głuchych jęków, wydanych zza szafy, powinno aż nadto wystarczyć, a gdyby jej to nie zbudziło, można będzie drgającymi palcami przejechać po nakryciu jej łóżka. Bliźniakom natomiast postanowił dać dobrą nauczkę. Pierwszą czynnością, jaką zamierzał wykonać, miało być przygniecenie im piersi; własnym ciężarem, by wywołać w śpiących uczucie duszącej zmory. Ponieważ ich łóżka stały tuż obok siebie, postanowił następnie stanąć pomiędzy nimi w postaci zzieleniałego, lodowatego trupa, a gdy znieruchomieją z przestrachu, zrzucić z siebie całun i jako zbielały kościotrup, z jedną gałką oczną, obracającą. się złowieszczo, czołgać się dokoła pokoju w charakterze „Posępnego Daniela, czyli Szkieletu Samobójcy”. Była to rola, którą niejednokrotnie z powodzeniem odegrywał i która, jego zdaniem, dorównywała zupełnie roli „Marcina-Wariata, czyli Zamaskowanej Tajemnicy”.

O wpół do jedenastej usłyszał, że cała rodzina udaje się na spoczynek. Przez jakiś czas jeszcze przeszkadzały mu w rozpoczęciu działań dzikie wybuchy śmiechu bliźniąt, które z beztroską wesołością uczniaków baraszkowały widocznie przed położeniem się do łóżka. Dopiero kwadrans po jedenastej

wszystko ucichło a gdy północ wybiła, duch rozpoczął swą wędrówką. Jakaś sowa tłukła się o szyby, ze starego cisu dochodziło krakanie kruka i wiatr hulał, jęcząc niczym dusza potępiona dokoła domu, a rodzina Otisów spała, nieświadoma tego, co ją czekało. Sir Simon słyszał górujące nad odgłosem deszczu i burzy miarowe chrapanie pana ministra Stanów Zjednoczonych. Wysunął się ukradkiem zza boazerii, ze złym uśmiechem na okrutnych, pomarszczonych wargach, a księżyc ukrył swe oblicze za chmurami, gdy duch przemykał się pod: wielkim witrażem w wykuszu, na którym widniał wykonany w złocie i lazurze jego własny herb, obok. herbu zamordowanej żony. Sunął dalej i dalej, jak złowrogi cień, a nawet otaczająca go ciemność zdawała się wzdragać, gdy przechodził. W pewnej chwili przystanął sądząc, że słyszy wołanie, lecz przekonawszy się, że to pies szczeka na Czerwonej Fermie, posuwał się dalej, mamrocząc dziwne przekleństwa z XVI wieku i wywijając od czasu do czasu w powietrzu zardzewiałym sztyletem. Wreszcie dotarł do zakrętu korytarza, który wiódł do pokoju nieszczęsnego Washingtona. Zatrzymał się tam na chwilę. Wiatr rozwiewał jego. długie, siwe włosy, skręcając w przedziwne, fantastyczne fałdy niesamowity w swej okropności całun oblekający nieboszczyków. Gdy zegar wybił kwadrans na pierwszą, duch poczuł, że nadszedł czas działania. Zachichotał sam do siebie i minął zakręt korytarza, lecz ledwo to uczynił, cofnął się w tył z żałosnym skowytem trwogi i ukrył zbielałą twarz w długich kościstych rękach. Wprost naprzeciw niego stał przerażający upiór, nieruchomy jak posąg i potworny jak senna mara, zrodzona w mózgu wariata! Głowę miał łysą i gładką, twarz okrągłą, tłustą i białą; zdawało się, że jakiś ohydny śmiech wykrzywił jego rysy i zastygł na nich na wieki. Z oczu jego sączyło się czerwone światło, z wielkiej czeluści ust buchał ogień, *odzież* zaś, równie wstrętna jak u ducha Canterville'u, spowijała śnieżną bielą tytaniczne kształty potwora. Na jego piersiach widniała tablica zapisana dziwnym, starodawnym pismem — jakiś zapewne dokument hańby, rejestr najdzikszych

przestępstw, lista popełnionych zbrodni. W prawej ręce trzymał szablę z błyszczącej stali, wzniesioną do góry.

Sir Simon przeraził się okropnie, gdyż nigdy ducha nie widział, rzuciwszy więc jeszcze jedno przelotne spojrzenie na okropne widziadło począł umykać do swego pokoju zaplątując się w pośpiesznej ucieczce przez korytarz w swoje długie giezło i gubiąc w końcu zardzewiały sztylet, który wpadł do cholewy buta pana ministra, skąd nazajutrz rano wyciągnął go służący. Znalazłszy się nareszcie w zaciszu własnego apartamentu sir Simon rzucił się na mały tapczan i ukrył twarz w pościeli. Jednakże po jakimś czasie ocknął się w nim mężny duch starego rodu Canterville'ów i postanowił rozmówić się z tamtym upiorem, skoro tylko zacznie świtać. Jakoż, zaledwie świt posrebrzył okoliczne wzgórza, sir Simon powrócił na miejsce, gdzie był ujrzał okropne widziadło, mówiąc sobie, że mimo wszystko dwa duchy mogą zdziałać więcej niż jeden i że z pomocą nowego przyjaciela można będzie bezpiecznie potykać się z bliźniakami. Gdy jednak znalazł się na miejscu, oczom jego przedstawił się straszny widok. Coś się widocznie musiało wydarzyć Upiorowi, gdyż światło w jego pustych oczodołach zgasło, błyszcząca szabla wypadła mu z ręki, a on sam stał oparty o ścianę w niewygodnej i zesztywniałej pozycji. Sir Simon skoczył ku niemu i pochwycił go w ramiona, ale ku swemu przerażeniu ujrzał, że głowa potwora oderwała się i potoczyła po podłodze, korpus osunął się na wznak, a w rękach sir Simona pozostała biała bawełniana firanka od łóżka, szczotka do zamiatania i tasak kuchenny, podczas gdy u jego stóp walała się wydrążona brukiew! Nie mogąc zrozumieć tego przeistoczenia, z gorączkowym pośpiechem chwycił za tabliczkę i wyczytał w bladym świetle poranka te straszne słowa:

„DUCH RODU OTISOW, JEDYNA PRAWDZIWA I ORYGINALNA ZJAWA, STRZEŻCIE SIĘ NAŚLADOWNICTWA, WSZELKIE INNE ZJAWY SĄ PODROBIONE.”

Uderzyło to w sir Simona jak grom. Podeszli go, oszukali, pohańbili! Oczy jego rozbłysły spojrzeniem dawnych Canterville'ów; zacisnął bezzębne szczęki i podnosząc pomarszczone ręce wysoko nad głową poprzysiągł, zgodnie z obowiązującą, malowniczą frazeologią starodawnej szkoły, że gdy kur dwukrotnie zadmie w swój dźwięczny róg, dokonane będą krwawe czyny i mord cichymi stopami wyjdzie na arenę.

Ledwo wymówił to straszliwe zaklęcie, kogut zapiał na dachu jednego z oddalonych domków krytych czerwoną dachówką. Duch zaśmiał się długim, przyciszonym, gorzkim śmiechem i czekał. Czekał godzinę i drugą, a kogut z niewiadomych przyczyn nie zapiał poraź wtóry. Aż wreszcie, o wpół do ósmej, wejście pokojówek zmusiło go do zaniechania złowrogich czat i dumnym krokiem wrócił do swego pokoju, rozmyślając o swych butnych, a chybionych zamierzeniach i nadziejach. Po czym zagłębił się w czytaniu rycerskich ksiąg, które niezmiernie lubił, i dowiedział się z nich, że ilekroć tego rodzaju zaklęcie było wymówione, kur zawsze piał po raz drugi.

— Przeklęte niech będzie złośliwe ptaszysko — wymamrotał. — Ongiś byłbym przebił mu gardziel mocną włócznią, musiałby mi wtedy zapiać, zanimby sczezł.

Rzekłszy to ułożył się na spoczynek w wygodnej, ołowianej trumnie i pozostał tam do wieczora.

IV

Nazajutrz duch czuł się bardzo słaby i zmęczony. Straszne podniecenie, w jakim żył od czterech tygodni, poczynało się na nim odbijać. Jego nerwy były całkowicie stargane, zrywał się za lada odgłosem. Przez pięć dni nie opuszczał pokoju, postanowiwszy wreszcie zaniechać sztuczek z krwawą plamą na posadzce biblioteki. Skoro rodzina Otisów nie chciała krwawej plamy, to niezawodnie na to nie zasługiwała. Byli to widocznie ludzie stojący na niskim materialistycznym poziomie egzystencji, zupełnie niezdolni do zrozumienia symbolicznego znaczenia zjawisk . przemawiających do zmysłów. Kwestia ukazywania się widm i rozwój astralnych ciał stanowiły oczywiście inną materię i nie podlegały jego kontroli. Miał obowiązek, uroczyście sobie nakazany, ukazywać się na: korytarzu raz na tydzień, a także w pierwszą i trzecią środę miesiąca przemawiać z okna wykuszu niezrozumiałym językiem — nie widział sposobu uchylenia się od tych zobowiązań bez uchybienia honorowi. Jakkolwiek bowiem życie jego było bardzo złe, okazywał się zawsze ogromnie sumienny, gdy chodziło o sprawy nadprzyrodzone. Jakoż, przez następne trzy soboty; przechadzał się jak zwykle po korytarzu pomiędzy północą a trzecią nad ranem, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, by nie być słyszanym ani dostrzeżonym. Zdejmował buty, stąpał jak najciszej po deskach stoczonych przez korniki, przyoblekał się w wielką, czarną aksamitną opończę i pamiętał o naoliwieniu łańcuchów amerykańskim smarem. Muszę powiedzieć, że z wielkim trudem zdobył się na użycie, tego ostatniego środka. A jednak pewnego wieczora, kiedy cała rodzina siedziała przy obiedzie, wśliznął się do sypialni pani Otis i porwał butelkę z tym

smarem. W pierwszej chwili czuł się trochę upokorzony, lecz później znalazł w sobie dość rozsądku, by stwierdzić, że ten wynalazek ma swoje zalety i że do pewnego stopnia służy jego celom. Mimo tych ostrożności nie przestawano go dręczyć. Na korytarzu zastawał ciągle rozciągnięte sznurki, o które potykał się w ciemności, a pewnego razu, gdy występował w roli i stroju „Czarnego Izaaka, czyli Myśliwego z Hogley Woods", ciężko upadł stanąwszy na pochyłą śliską deszczułkę, którą bliźniacy ustawili pomiędzy wyjściem z komnaty zawieszonej tkaninami a górną częścią dębowych schodów. Ta ostatnia zniewaga taką napełniła go wściekłością, że chcąc zaznaczyć swoją godność i stanowisko społeczne, postanowił zrobić ostatni wysiłek, nawiedzając następnej nocy bezczelnych wychowanków z Eton w charakterze „Lekkomyślnego. Ruperta, czyli Graf a bez głowy". Nie występował już w tym przebraniu od przeszło siedemdziesięciu lat, to jest od czasu, kiedy tak przestraszył swym ukazaniem się śliczną lady Barbarę. Modish, że zerwała nagle swe zaręczyny z dziadkiem obecnego lorda Canterville'a i uciekła do Gretna Green z pięknym Jackiem Castletonem, oświadczając że żadna na świecie siła nie zmusi jej wejść do rodziny, która pozwala takiemu szkaradnemu widmu przechadzać się tam i z powrotem po tarasie o zmroku. Biedny Jack został później zastrzelony w pojedynku przez lorda Canterville'a w Wandsworth Common, lady Barbara zaś, ze złamanym sercem, zmarła przed upływem roku w Tunsbridge Wells. Cała impreza powiodła się więc doskonale. Ucharakteryzowanie się jednak na „Grafa bez głowy" było rzeczą niezmiernie trudną, jeśli tak teatralnego wyrażenia jak „charakteryzacja" można użyć w odniesieniu do jednej z największych tajemnic nadprzyrodzonego świata czy mówiąc językiem bardziej naukowym, świata niepoznawalnego. Same przygotowania do tego występu zajęły duchowi pełne trzy godziny. Gdy wreszcie ukończył pracę, był bardzo zadowolony ze swej powierzchowności. Wysokie skórzane buty do konnej jazdy, przystosowane do całego stroju, były wprawdzie trochę zbyt obszerne, poza tym nie mógł odnaleźć jednego z dwóch

pistoletów przytraczanych do siodła, ale całość wypadła zadowalająco i o godzinie kwadrans po pierwszej upiór wynurzywszy się zza boazerii posuwał się wzdłuż korytarza. Gdy dotarł do pokoju zajmowanego przez bliźnięta, który nazywano z powodu barwy firanek i obicia błękitną sypialnią, zastał drzwi uchylone. Chcąc, aby jego wejście wywołało pożądany efekt, pchnął je gwałtownie, gdy wtem ciężki dzbanek z wodą spadł wprost na niego, przemoczył go na wskroś i przeleciał o parę cali obok jego lewego ramienia. W tej samej chwili posłyszał przytłumione wybuchy śmiechu, pochodzące z łóżka zdobnego w kolumny i baldachim. Wstrząs, jakiego doznał, odbił się tak silnie na jego systemie nerwowym, że umknął co sił do swego pokoju i następny dzień przeleżał, okrutnie przeziębiony. Jedyną pociechą w całym tym wydarzeniu był fakt, że nie zabrałz sobą głowy, co gdyby uczynił, mogło było pociągnąć za sobą bardzo poważne konsekwencje. Od tej chwili stracił nadzieję, aby udało mu się kiedykolwiek nastraszyć tę nieokrzesaną amerykańską rodzinę i zadowalał się przeważnie przesuwaniem się po korytarzach w miękkich sandałach, z szyją okręconą grubym czerwonym szalikiem dla zabezpieczenia się od przeciągów tudzież z małą rusznicą mającą mu służyć w razie napaści ze strony bliźniaków. Ostatni cios. spotkał go dziewiętnastego września. Zeszedł na dół do sieni wejściowej, przekonany, że tam nikt nie będzie na niego nastawał i zabawiał się robieniem sarkastycznych uwag na temat ogromnych fotografii pana ministra Stanów Zjednoczonych i jego żony, które zastąpiły portrety rodu Canterville'ów. Był skromnie, lecz schludnie odziany w długi całun ze śladami pleśni cmentarnej, obwiązał sobie szczękę paskiem z żółtego płótna, a w ręku niósł małą latarkę oraz rydel grabarza. Strój ten odpowiadał roli „Jonasza Bez Grobu, czyli Ograbiacza Trupów z Chertsey Barn” — jednej z najznakomitszych ról, jakie uosabiał sir Simon, a którą rodzina Canterville'ów miała wszelki powód zapamiętać, gdyż to właśnie stało się pierwotną przyczyną jej zatargu z sąsiadem, lordem Ruffordem. Była godzina kwadrans po drugiej nad

ranem i, jak się zdawało duchowi, nikt nie powinien był zakłócić jego spokoju. Gdy jednak skierował kroki w stronę biblioteki, by się przekonać, czy pozostał tam jeszcze ślad krwawej plamy, z ciemnego kąta wyskoczyły nań znienacka dwie postacie, które dziko wymachując rękami nad głową, ryknęły mu „buu” w samo ucho.

Gnany strachem, który w tych okolicznościach był zupełnie wytłumaczony, rzucił się w stronę schodów, ale tam czekał na niego Washington Otis z wielką sikawką ogrodową. Będąc tedy osaczony przez nieprzyjaciół ze wszystkich stron i niejako zapędzony w ślepy zaułek, znikł w wielkim żelaznym piecu, w którym na jego szczęście nie było ognia i tamtędy wywiał poprzez rury i kominy, by wreszcie dopaść swej komnatki w okropnym stanie brudu, nieładu i rozpaczy. Od tej pory nie widywano go już na nocnych przechadzkach. Bliźnięta czatowały na niego wielokrotnie i co wieczór rozrzucały w przejściach skorupki od orzechów, ku . wielkiemu niezadowoleniu rodziców i służby, ale czyniły to napróżno. Stało się rzeczą oczywistą, że duch, zraniony w swych uczuciach, nie pokaże się więcej. Pan Otis powrócił obecnie do pracy nad swym wielkim dziełem, *Historią Partii Demokratycznej,* którym zajmował się od paru lat; pani Otis urządziła wspaniałe *clambaka,* które wprawiło w zdumienie całe hrabstwo, chłopcy grywali w *lacrosse,* pokera i inne narodowe amerykańskie gry towarzyskie, Wirginia zaś cwałowała po wiejskich drożynach na swoim kucyku w towarzystwie młodego księcia Cheshire, który przyjechał na ostatni tydzień wakacji do Canterville Chase. Przypuszczano ogólnie, że duch się wyniósł, i pan Otis napisał list do lorda Canterville donoszący mu o tym wydarzeniu. W odpowiedzi na tę nowinę lord wyraził swe żywe zadowolenie przesyłając jednocześnie wyrazy poważania czcigodnej pani ministrowej.

Rodzina Otisów myliła się jednakże, gdyż duch przebywał nadal w domu i, choć był już inwalidą, nie zamierzał bynajmniej pozostawać bierny, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że wśród gości znajduje się młody książeni Cheshire. Cioteczny

dziad tego książątka, lord Francis Stilton, założył się bowiem kiedyś z pułkownikiem Carbury o sto gwinei, że zagra w kości z duchem Canterville'u. Znaleziono go nazajutrz leżącego na podłodze w karcianym pokoju, tkniętego tak silnym paraliżem, że jakkolwiek dożył późnego wieku, nie był już w stanie wypowiedzieć innych słów, jak „dwie szóstki". Historia ta była dobrze znana w swoim czasie, choć oczywiście, przez szacunek dla uczuć obu szlacheckich rodów starano się przeciwdziałać jej rozgłosowi. Pełny opis wszystkich okoliczności związanych z tą sprawą można znaleźć w trzecim tomie dzieła lorda Tattleya pt. *Wspomnienia o Księciu Regencie i jego Przyjaciołach.* Duchowi chodziło więc naturalnie bardzo o pokazanie, że nie stracił przewagi nad rodem Stiltonów, z którymi był trochę spowinowacony, cioteczna jego siostra bowiem wyszła *en secondes noces* za sieura de Bulkeleya, od którego — jak wiadomo — pochodzą w prostej linii książęta Cheshire. Rozpoczął przeto przygotowania, by ukazać się zakochanemu w Wirginii młodzieniaszkowi w swym słynnym wcieleniu: „Mnich-Wampir, czyli bezkrwisty Benedyktyn", w postaci tak okropnej, że gdy stara lady Startup ją zobaczyła w ową fatalną wigilię Nowego Roku 1764, poczęła wydawać przeraźliwe krzyki, które skończyły się gwałtowną apopleksją, i w trzy dni potem umarła po wydziedziczeniu Canterville'ów, najbliższych swych krewnych, i zapisaniu całego majątku swemu londyńskiemu aptekarzowi. Wszakże w ostatniej chwili strach przed bliźniakami powstrzymał ducha od opuszczenia swego pokoju i mały książę spał spokojnie pod ozdobnym baldachimem w królewskiej sypialni, śniąc o Wirginii.

V

W parę dni później Wirginia i jej kędzierzawy towarzysz wybrali się na przejażdżkę przez błonia w Brockley, przy czym panienka przeskakując płot tak podarła swoją amazonkę, że *po* powrocie do domu postanowiła wejść tylnymi schodami, aby jej nikt nie zobaczył. Gdy przebiegała obok gobelinowej komnaty, której drzwi były uchylone, zdawało się jej, że kogoś tam dostrzega. Sądząc, że to panna służąca jej matki, która czasem przychodziła tam ze swoją robotą, zajrzała do wnętrza pokoju, by prosić ją o zeszycie sukienki. Ku swemu niesłychanemu zdumieniu ujrzała ducha Canterville'u we własnej osobie! Patrzył przez okno na żółknące drzewa, z których odrywały się płaty zaśniedziałego złota wirując w powietrzu, i na czerwone liście miotające się we wściekłym tańcu wzdłuż parkowej alei. Głowę wsparł na ręce, a cała jego postawa wyrażała niesłychane przygnębienie. Wyglądał na tak opuszczonego, na tak niezdolnego do podźwignięcia się, że mała Wirginia, której pierwszą myślą była ucieczka i zamknięcie się na klucz w swoim pokoju, poczuła litość i postanowiła spróbować go pocieszyć. Jej, kroki były tak ciche, a jego melancholia tak głęboka, że nie zauważył obecności dziewczynki, aż doń przemówiła.

— Tak mi pana żal —rzekła —ale moi bracia wracają jutro do Eton i jeśli się pan będzie zachowywał jak należy, nikt panu przykrości nie sprawi.

— Cóż za absurd pouczać mnie, jak mam się zachowywać— odpowiedział oglądając ze zdziwieniem śliczną panienkę, która miała odwagę doń przemówić. — Zupełny absurd. Ja muszę brzęczeć kajdanami, jęczeć przez dziurki od klucza i

przechadzać się po nocy, jeśli to miałaś na myśli. To cała moja racja bytu.

— To nie jest żadna racja bytu i pan sam wie, że był pan niedobrym człowiekiem. Pani Umney mówiła nam w pierwszym dniu naszego pobytu, że pan zabił swoją żonę.

— Tak, zupełnie temu nie przeczę — potwierdził duch zgryźliwie — ale to była czysto rodzinna sprawa i nie dotyczyła nikogo poza nami.

— Wielkim złem jest zabijać — odrzekła Wirginia, która umiała czasem przemawiać ze słodką, purytańską powagą, odziedziczoną po jakimś dalekim przodku 2 Nowej Anglii.

— Och, nienawidzę tych tanich, surowych frazesów abstrakcyjnej etyki! Moja małżonka była bardzo ograniczona, nigdy nie miałem porządnie nakrochmalonej kryzy, a na kuchni nie znała się wcale! Zastrzeliłem kiedyś jelenia w Hogley Woods, wspaniałego dwulatka, i czy uwierzysz, jak był przyrządzony, gdy podano go do stołu? Ale mniejsza z tym, wszystko to przeminęło i nie uważam, aby to było piękne ze strony jej braci zagłodzić mnie na śmierć, jakkolwiek zabiłem ją naprawdę.

— Zagłodzili pana na śmierć? Och, panie duchu, a raczej sir Simonie, to pan jest głodny? Mam tartynkę w torebce, czy pan by ją zjadł?

— Nie, dziękuję, nie jadam teraz wcale. Ale to swoją drogą ładnie z twojej strony, widzę,że jesteś o wiele milsza od swej okropnej, brutalnej, ordynarnej, niecnej rodziny.

— Dość! — wykrzyknęła Wirginia tupiąc nóżką. — To pan jest brutalny, okropny i ordynarny; a jeśli chodzi o nieuczciwość, to pan dobrze wie, że kradł mi farby z pudła malarskiego, żeby odnawiać nimi tę dziwaczną krwawą plamę w bibliotece. Z początku zabrał mi pan wszystkie czerwone farby łącznie ze szkarłatną, i nie mogłam robić zachodów słońca, potem ściągnął pan zieleń szmaragdową i żółte farby, aż pozostało mi tylko indygo i biel, którymi można malować wyłącznie krajobrazy w świetle księżycowym, a te są raczej przygnębiające dla widza i wcale niełatwe do odtworzenia.

Nigdy się na pana nie poskarżyłam, ale byłam bardzo nierada, a cała rzecz zakrawała na śmieszność, bo kto kiedy słyszał o szmaragdowej krwi?

— Rzeczywiście — potwierdził duch głosem trochę miększym — ale co miałem robić? O prawdziwą krew w dzisiejszych czasach bardzo trudno. Odkąd twój brat rozpoczął swoje sztuczki za pomocą tego wywabiacza, nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym przywłaszczać sobie twoich farb. Co do kolorów, to kwestia upodobania. Ród Canterville'ów na przykład ma krew błękitną, najbłękitniejszą w Anglii, ale wiem, że wy, Amerykanie, nie dbacie o te sprawy.

— Pan nie może nic o tym wiedzieć i najlepszą rzeczą dla pana byłoby przeniesienie się do Ameryki dla wyrobienia sobie sądu. Mój ojciec będzie szczęliwy zapewniając panu bezpłatny przejazd, a chociaż jest wysokie cło na wszystkie spirytualia, nie powinno być przeszkód ze strony urzędu celnego, bo tam wszyscy wyżsi urzędnicy są demokratami. Znalazłszy się w Nowym Yorku pan może być pewien powodzenia. Znam mnóstwo osób, które dałyby setki tysięcy dolarów za pradziadka, a więcej jeszcze za posiadanie ducha w rodzinie.

— Nie zdaje mi się, abym lubił Amerykę.

— Zapewne dlatego, że nie mamy ruin ani osobliwości — rzekła Wirginia sarkastycznie.

— Ruin i osobliwości! — odparł duch. — Macie za to flotę i wasze słynne maniery.

— Dobranoc. Poproszę tatusia, żeby uzyskał dla bliźniaków dodatkowy tydzień wakacji.

— Proszę, niech pani nie odchodzi, miss Wirginio — zawołał duch. — Jestem taki samotny i nieszczęśliwy i doprawdy nie wiem, co robić! Chciałbym zasnąć i nie mogę.

— Ależ to bzdury! Wystarczy położyć się do łóżka i zgasić świecę. Czasem jest bardzo trudno walczyć z sennością, szczególnie w kościele, ale nie ma nigdy trudności z zaśnięciem. Przecież i maleńkie dzieci to umieją, choć są głupiutkie.

— Ja nie śpię od trzystu lat — rzekł smutnym głosem duch, a piękne, błękitne oczy Wirginii rozszerzyły się ze zdziwienia. —

Od trzystu lat nie zasnąłem i jestem okropnie strudzony.

Wirginia spoważniała zupełnie i jej drobne wargi zadrżały jak listki róży. Podeszła do niego i, klękając u jego kolan, wpatrzyła się w starą, wyniszczoną twarz.

— Biedny, biedny duchu — wyszeptała — czy nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbyś zasnąć?

— Daleko, daleko, za sosnowym borem — odpowiedział przyciszonym, rozmarzonym głosem — leży niewielki ogród. Rośnie tam głęboka, bujna trawa, kwiecie cykuty błyszczy jak wielka, biała gwiazda. Słowik śpiewa przez całą noc. Przez całą noc śpiewa, a księżyc, jak zimna tarcza z kryształu, spogląda w dół, i stary cis rozpościera nad śpiącymi swe olbrzymie ramiona.

Oczy Wirginii zaszły łzami i ukryła twarz w dłoniach.

— Pan myśli o Ogrodzie Śmierci — szepnęła.

— Tak, Śmierci. Śmierć musi być cudowna. Leżeć w miękkiej, brunatnej ziemi wiedząc, że trawy kołyszą się nad głową, i wsłuchiwać się w ciszę. Nie dbać o wczoraj, nie mieć jutra. Zapomnieć o istnieniu czasu, przebaczyć życiu, spoczywać w pokoju. Ty możesz mi pomóc. Ty możesz otworzyć mi bramę Przybytku Śmierci, gdyż z Tobą jest Miłość, a Miłość mocniejsza jest niźli Śmierć.

Wirginia zadrżała, zimny dreszcz wstrząsnął nią — i przez dłuższą chwilę panowała cisza. Zdawało się jej, że przeżywa jakiś straszny sen.

Wreszcie duch znowu przemówił, a głos jego brzmiał jak westchnienie wiatru.

— Czytałaś kiedy starą przepowiednię na oknie biblioteki?

— O, często nawet — zawołała dziewczynka, podnosząc oczy, — Znam ją dobrze. Wypisana jest dziwnymi czarnymi literami, które trudno odczytać. Ma tylko sześć wierszy:

Gdy złotowłosej modły dziewczyny Odkupią straszne grzesznika winy, Gdy migdałowe drzewko zmartwiałe Kwiaty czerwone wyda i białe, Wtedy powrócą spokojne chwile I pokój zejdzie nad Canterville'em,

— Ale nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy, że musisz za mnie opłakiwać moje grzechy, gdyż ja nie mam łez, i modlić się wraz ze mną za moją duszę, gdyż ja nie mam wiary, a wtedy, o ile byłaś zawsze dobra, słodka i szlachetna, Anioł Śmierci zmiłuje się nade mną. Ujrzysz w mroku nocy okropne potwory i słyszeć będziesz złe głosy szepczące ci do ucha, ale one nie uczynią ci krzywdy, gdyż władze piekielne bezsilne są wobec dziecięcej czystości.

Wirginia nie odpowiedziała nic i duch, spoglądając na jej pochyloną złotą główkę, załamał ręce w dzikiej rozpaczy. Nagle powstała z klęczek, bardzo blada, z dziwnym światłem w oczach.

— Nie boję się — rzekła stanowczym głosem — i będę prosiła Anioła o miłosierdzie dla pana.

Zerwał się z cichym okrzykiem radości i ujmując jej rękę nachylił się nad nią i ucałował ją ze staroświecką galanterią. Jego palce były zimne jak lód, a usta parzyły jak ogień, ale Wirginia nie okazała wahania, gdy wiódł ją ze sobą przez mroczny pokój. Na wypłowiałych tkaninach ściennych wyhaftowane były figurki myśliwych dmących w rogi ozdobione chwastami — machali oni teraz maleńkimi rękami, usiłując zawrócić ją z drogi: „Wracaj, mała Wirginio, wracaj!” — ale duch mocniej zacisnął jej rękę, ona zaś przymknęła powieki, by nie widzieć ich ruchów. Ohydne zwierzęta o jaszczurczych ogonach i wyłupiastych oczach mrugały na nią z rzeźbionego kominka, pomrukując: „Strzeż się, mała Wirginio, strzeż się! Możemy już nie zobaczyć cię nigdy!” Lecz duch posuwał się coraz szybciej, ona zaś nie słuchała ich głosów. Gdy doszli na drugi koniec komnaty, duch zatrzymał się i wymamrotał jakieś słowa, których nie mogła zrozumieć. Otworzywszy oczy ujrzała, że ściana rozwiewa się powoli jak mgła, przed nią zaś otwiera się wielka, ciemna czeluść. Zimny, przejmujący wiatr owionął ich i Wirginia poczuła, że coś ciągnie ją za sukienkę.

— Prędzej, prędzej — wołał duch — bo będzie za późno — jakoż w tej chwili ściana zamknęła się za nimi i gobelinowa komnata pozostała pusta.

VI

W jakieś dziesięć minut później odezwał się gong wzywający na herbatę, a że Wirginia nie schodziła, pani Otis posłała po nią na górę jednego ze służących. Ten po jakimś czasie powrócił oznajmiając, że nigdzie nie może znaleźć panny Wirginii. Ponieważ miała zwyczaj wychodzić pod wieczór do ogrodu po kwiaty dla przybrania stołu do obiadu, pani Otis z początku wcale się nie zaniepokoiła, gdy jednak zegar wybił szóstą, a Wirginia się nie zjawiała, matkę ogarnął niepokój i posłała chłopców na poszukiwanie jej na dworze, ona zaś i pan Otis obeszli wszystkie pokoje w domu. O w pół do siódmej chłopcy wrócili mówiąc, że nigdzie nie mogli natrafić na ślad Wirginii. Wszyscy już byli w najwyższym stopniu podnieceni i nie wiedzieli, co począć, gdy pan Otis przypomniał sobie nagle, że przed paru dniami udzielił bandzie Cyganów pozwolenia na rozłożenie obozu w parku. Udał się więc natychmiast w towarzystwie starszego syna i dwóch fornali do Blackfell Hollow, wiedząc, że Cyganie obecnie tam się znajdują. Mały książę Cheshire, który zupełnie szalał z niepokoju, błagał o zabranie go ze sobą, ale pan Otis nie pozwolił mu jechać obawiając się, że może tam dojść do bijatyki. Przybywszy na miejsce przekonał się jednak, że Cyganie odjechali, a musiał to być wyjazd dość nagły, gdyż ogniska jeszcze się tliły, a na trawie leżały porozrzucane naczynia. Posłał tedy Washingtona i obu służących z poleceniem przetrząśnięcia okolicy, sam zaś powrócił do domu, skąd nadał depeszę do wszystkich inspektorów policji w całym hrabstwie, donosząc im o zaginięciu dziewczynki, która musiała być porwana przez Cyganów lub włóczęgów. Po czym, skłoniwszy usilnym naleganiem żonę i trzech chłopców do spożycia obiadu, kazał

podać sobie konia i pokłusował z chłopcem stajennym drogą do Ascot. Ledwo jednak ujechał parę mil, usłyszał galop konia za sobą i, obejrzawszy się, dostrzegł małego księcia Cheshire na swym kucyku, z rozognioną twarzą i bez kapelusza.

— Strasznie mi przykro, panie Otis — wykrztusił zadyszany chłopiec — ale nie mogę zjeść obiadu dopóki się Wirginia nie znajdzie. Proszę, niech pan się na mnie nie gniewa! Gdyby pan był nam pozwolił zaręczyć się w zeszłym roku, nie stałoby się takie nieszczęście. Pan nie odeśle mnie z powrotem, prawda? Ja nie mogę wracać, ja nie chcę wracać!

Minister nie mógł powstrzymać się od uśmiechu spoglądając na pięknego wyrostka, wzruszyło go przy tym ogromnie przywiązanie chłopca do Wirginii, więc przechylając się z konia poklepał go dobrotliwie po ramieniu i rzekł:

— No, Cecilu, skoro nie chcesz zawrócić, to trzeba, byś jechał ze mną, ale muszę w Ascot kupić ci kapelusz.

— Mniejsza o kapelusz, ja chcę Wirginii! — zawołał śmiejąc się mały książę i pogalopowali dalej, do stacji kolejowej. Tam pan Otis rozpytywał zawiadowcę stacji, czy nie dostrzeżono na peronie osóbki, której rysopis odpowiadałby Wirginii, ale nie dowiedział się niczego. Zawiadowca telegrafował jednakże do innych stacji i upewnił go, że wzdłuż całej linii kolejowej będzie zwrócona baczna uwaga na podróżnych. Kupiwszy jeszcze małemu księciu kapelusz u kupca sprzedającego bieliznę, który właśnie zamykał sklepowe okiennice, pan Otis odjechał do Bexley, wioski leżącej o cztery mile dalej, a będącej, jak mu powiedziano, znanym punktem zbornym Cyganów, gdyż posiadała w pobliżu wielkie pastwisko. Przybywszy na miejsce zbudzili wiejskiego policjanta, ale ten nie umiał im niczego powiedzieć, objechali więc jeszcze całe pastwisko, po czym skierowali swoje konie w stronę domu i dotarli tam około jedenastej, śmiertelnie znużeni i z niemal złamanym sercem.

Przy bramie wjazdowej oczekiwał na nich Washington i bliźniacy z latarnią, gdy żaleja była bardzo ciemna. Wirginii nie było ani śladu. Cyganów odnaleziono na błoniach w Broxley, ale bez dziewczynki, nagły swój wyjazd tłumaczyli tym, że

zapomnieli dokładnej daty jarmarku w Chorton i musieli bardzo się śpieszyć w obawie, aby się nie spóźnić. Wieść o zaginięciu Wirginii prawdziwie ich zasmuciła, zachowali bowiem szczerą wdzięczność dla pana Otisa za to, że pozwolił im obozować w swoim parku. Czterech spośród Cyganów pozostało nawet na miejscu, by dopomóc w poszukiwaniach. Spuszczono sadzawkę z karpiami i przetrząśnięto całe domostwo, ale bez rezultatu. Stało się rzeczą jasną, że w każdym razie tej nocy nie odnajdą już Wirginii. Toteż w stanie najgłębszego przygnębienia wracał pan Otis z chłopcami do domu, a za nimi kroczył chłopiec stajenny z dwoma końmi i kucem. W sieni zastali grupę przestraszonej służby, w bibliotece zaś leżała na sofie biedna pani Otis, prawie nieprzytomna z trwogi i niepokoju; stara gospodyni ochładzała jej czoło okładami z wody kolońskiej. Pan Otis zaczął nalegać, aby się czymś posiliła i kazał podać wieczerzę dla całej kompanii. Smutna to była wieczerza, gdyż mało kto się odzywał, a nawet bliźniacy wydawali się zastraszeni i potulni, byli bowiem szczerze przywiązani do siostry. Po skończonym posiłku pan Otis, nie zważając na błagalne prośby małego księcia, kazał wszystkim iść spać mówiąc, że tej nocy nie ma już nic do zrobienia, a że nazajutrz rano zatelegrafuje do Scotland Yard z prośbą o natychmiastowe przysłanie detektywów. W chwili gdy wszyscy wychodzili z sali jadalnej, zegar na wieży jął wybijać północ, a gdy przebrzmiało ostatnie jego uderzenie, usłyszano łoskot i nagły, przeraźliwy krzyk; huk piorunu wstrząsnął całym domem, jakaś nieziemska melodia przepłynęła przez powietrze, na górze, nad schodami, oderwała się i runęła z trzaskiem drewniana płyta boazerii, a z otworu wyłoniła się Wirginia z twarzą bladą jak płótno i małą szkatułką w ręce. W jednej chwili wszyscy skoczyli ku niej. Pani Otis chwyciła ją gwałtownie w ramiona, książątko o mało jej nie zadusiło gorącymi pocałunkami, a bliźnięta wykonały dziki taniec wojenny dokoła tej grupy.

— Boże święty! Gdzieś ty była, dziecko? — wykrzyknął pan Otis głosem raczej rozdrażnionym, sądząc że to był jakiś

szaleńczy figiel wyplatany im przez dziewczynkę. — Cecil i ja objechaliśmy całą okolicę szukając ciebie, a twoja matka o mało nie umarła ze strachu. Nie wolno ci w przyszłości dopuszczać się takich wybryków!

— Chyba dla przestraszenia ducha! Chyba, żeby przegnać ducha! — wykrzyknęli chłopcy, skacząc bez przerwy.

— Dziecino najdroższa, Bogu niech będą dzięki, żeś się odnalazła; odtąd musisz ciągle pozostawać przy mnie — mamrotała pani Otis całując drżącą dziewczynkę i gładząc jej złote splątane włosy.

— Tatusiu — odezwała się Wirginia spokojnie — ja przebywałam z duchem. On umarł i musicie pójść ze mną, by go obejrzeć. On był bardzo niedobry, ale żałował naprawdę za wszystko, co złego uczynił, i przed śmiercią ofiarował mi tę szkatułkę ze śliczną biżuterią.

Cała rodzina patrzyła na nią w niemym osłupieniu, ale Wirginia wydawała się poważna i uroczysta; odwróciwszy się, prowadziła wszystkich przez otwór w boazerii i wąski ukryty korytarz, za nią szedł Washington z zapaloną świecą, którą zdołał był porwać ze stołu. Wreszcie doszli do wielkich dębowych drzwi nabijanych zardzewiałymi gwoździami. Skoro tylko Wirginia dotknęła tych drzwi, zakołysały się na ciężkich zawiasach i stanęły otworem. Otisowie znaleźli się w niskim, sklepionym pokoiku o jednym malutkim, zakratowanym okienku. W ścianę wbita była olbrzymia, żelazna obręcz, a przykuty do niej łańcuchami leżał na kamiennej podłodze wyschły kościotrup. Zdawało się, że palcami pozbawionymi ciała usiłuje przyciągnąć staroświecki dzbanek i deszczułkę do krajania chleba, leżące poza jego zasięgiem. Dzbanek musiał być kiedyś napełniony wodą, bo jego wnętrze pokrywały rdzawe plamy, na deszczułce zaś nie było nie prócz warstwy kurzu. Wirginia uklękła obok kościotrupa i złożywszy drobne ręce poczęła się cicho modlić, podczas gdy reszta zebranych patrzyła ze zdumieniem na straszną tragedię, której tajemnica teraz dopiero się odsłoniła.

— Hallo! — zawołał nagle jeden z bliźniaków wyglądając przez okienko, by sprawdzić, w którym skrzydle zamku znajduje się pokoik. — Hallo! to stare, zeschnięte drzewko migdałowe zakwitło. Widzę wyraźnie kwiaty przy świetle księżyca.

— Bóg mu przebaczył — rzekła z powagą Wirginia powstając z klęczek. Przedziwne światło zdawało się promieniować z jej twarzy.

— Jesteś aniołem! — wykrzyknął mały książę i otoczywszy ramieniem jej szyję ucałował ją.

VII

W cztery dni po tych ciekawych wydarzeniach, około jedenastej w nocy, wyruszył z zamku Canterville kondukt żałobny. Karawan ciągnęły cztery kare konie, których głowy przybrane były w pióropusze ze strusich piór, a ołowianą trumnę okrywał wspaniały purpurowy całun z wyhaftowanymi złotem herbami Canterville'ów. Po obu stronach karawanu i pojazdów kroczyła służba z zapalonymi pochodniami i cały kondukt czynił ogromne wrażenie. Przedstawicielem rodziny zmarłego był lord Canterville, który umyślnie przyjechał z Walii na pogrzeb i siedział w pierwszym powozie w towarzystwie małej Wirginii. Za nimi jechał pan minister Stanów Zjednoczonych z małżonką, w następnym powozie Washington z trzema chłopcami, w ostatnim zaś pani Umney. Wszyscy zgodnie uznali, że osoba, którą duch straszył przez przeszło pięćdziesiąt lat, ma prawo wziąć udział w ostatniej oddanej mu posłudze. Głęboki grób wykopano w narożniku cmentarza pod starym cedrem, a przewielebny Augustus Dampier odprawił bardzo uroczyście nabożeństwo żałobne. Po skończonym obrzędzie, zgodnie ze starym obyczajem zachowanym w rodzie Canterville'ów, służba zgasiła pochodnie, a w chwili gdy trumnę spuszczano do ziemi, Wirginia wysunęła się naprzód i złożyła na niej duży krzyż z biało-różowego kwiecia migdału. Ledwo to uczyniła, księżyc wysunął się zza chmury, oświecając swym srebrnym, cichym blaskiem cmentarzyk, a w dalekich zaroślach począł śpiewać słowik. Przypomniały się Wirginii słowa ducha opisującego Ogród Śmierci, oczy jej zamgliły się łzami i w powrotnej drodze nie odzywała się prawie wcale.

Nazajutrz rano, przed odjazdem lorda Canterville'a do miasta, pan Otis miał z nim rozmowę na temat klejnotów

ofiarowanych Wirginii przez ducha. Były wprost przepyszne, zwłaszcza jeden naszyjnik z rubinów w staroweneckiej oprawie przedstawiał wspaniały okaz z XVI wieku, tak wielkiej wartości, że pana Otisa ogarnęły skrupuły, czy powinien córce pozwolić na przyjęcie takiego daru.

— Milordzie — rzekł — wiem, że w tym kraju prawo określające dobra martwej ręki odnosi się równie dobrze do świecidełek, jak do własności ziemskiej, więc jest dla mnie jasne, że te klejnoty są, a raczej powinny być, schedą pańskiej rodziny. Muszę więc prosić pana o zabranie ich ze sobą do Londynu i traktowanie ich jako części swojej, własności, odzyskanej w pewnych dość szczególnych okolicznościach. Co się; tyczy mojej córki, to jeszcze dziecko, które jak dotąd — podkreślam z zadowoleniem — nie interesuje się marnymi przedmiotami zbytku. Zostałem także poinformowany przez panią Otis, która, mogę powiedzieć, jest niemałym autorytetem w dziedzinie sztuki, miała bowiem jako młoda panienka szczęście spędzenia paru sezonów zimowych w Bostonie, że te kamienie przedstawiają dużą wartość pieniężną i wystawione na sprzedaż mogą osiągnąć wysoką cenę. Jestem przekonany, lordzie Canterville, że w tych okolicznościach pan dobrze zrozumie, iż nie mogę pozwolić, aby ta biżuteria przeszła na własność jakiegokolwiek członka mojej . rodziny. Poza tym wszystkie takie błyskotki i cacka, może stosowne i potrzebne do podtrzymywania godności angielskiej arystokracji, byłyby zupełnie nie na miejscu u ludzi wychowanych w surowych i, jak sądzę, nieśmiertelnych zasadach republikańskiej prostoty. Powinienem tu może nadmienić, że Wirginia gorąco by pragnęła uzyskać pańskie zezwolenie na zachowanie samej szkatułki jako pamiątki po pańskim nieszczęsnym przodku, który tak źle się prowadził. Ponieważ szkatułka jest ogromnie stara, i co za tym idzie, niezbyt nadająca się do reperacji, może by pan uznał za stosowne przychylić się do jej prośby. Co do mnie, wyznaję, że bardzo mnie dziwi u mego rodzonego dziecka taki pociąg do średniowiecza w różnych jego formach. Mogę to sobie wytłumaczyć jedynie tym, że Wirginia urodziła

się na jednym z waszych londyńskich przedmieść wkrótce po powrocie pani Otis z podróży do Aten.

Lord Canterville przysłuchiwał się z wielką powagą wywodom zacnego pana ministra, szarpiąc od czasu do czasu swój siwy wąs, aby ukryć mimowolny uśmiech. Gdy pan Otis skończył, uścisnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Drogi panie, pańska czarująca córeczka oddała memu nieszczęśliwemu przodkowi, sir Simonowi, przysługę ogromnej wagi. I ja sam, i moja rodzina poczuwamy się do wielkiego długu wdzięczności wobec niej za jej wspaniałą odwagę i męstwo. Klejnoty bezspornie należą do niej — i zaiste! gdybym był tak małoduszny, aby je odebrać, ten złośliwy stary figlarz nie czekałby dwóch tygodni, by wyleźć z grobu i diabelnie popsuć mi życie. Co do pańskiego twierdzenia, że klejnoty wchodzą w skład schedy, zaznaczam, że nie wchodzą, o ile nie były wymienione w testamencie czy innym dokumencie prawnym. A o ich istnieniu nikt przecie nie wiedział. Upewniam pana, że nie mam do nich większego prawa niż pański służący, a gdy panna Wirginia dorośnie, będzie z pewnością rada, że może coś ładnego włożyć. Poza tym zapomina pan, panie Otis, że pan przejął meble i ducha z dobrodziejstwem inwentarza i wszystko, co należało do ducha, przeszło na pańską własność, gdyż pomimo całej aktywności, jaką sir Simon rozwijał nocą na korytarzu, z punktu widzenia prawa był naprawdę nieboszczykiem, a pan jego spadkobiercą z tytułu kupna.

Pan Otis był bardzo zasępiony odmową lorda Canterville i prosił go usilnie, by jeszcze raz rozważył swoją decyzję, ale dobroduszny pan okazał się stanowczy i wreszcie wymógł na panu ministrze obietnicę, że pozwoli swej córce zachować dar złożony jej przez ducha. Gdy na wiosnę 1890 roku młoda księżna Cheshire z okazji swego ślubu została przedstawiona królowej na pierwszym przyjęciu w sezonie, jej klejnoty stały się przedmiotem powszechnego zachwytu.

Wirginia bowiem otrzymała tytuł, jak tyle innych dobrych amerykańskich dziewcząteк, i wyszła za swego ukochanego

chłopca, skoro tylko doszedł do pełnoletności. Oboje byli tak uroczy i kochali się tak ogromnie, że nie było nikogo, kto by się szczerze nie cieszył z ich małżeństwa, z wyjątkiem starej markizy Dumbleton, która usiłowała złowić księcia dla jednej ze swych pięciu niezamężnych córek, i wydała w tym celu trzy wielkie przyjęcia połączone z kosztownymi obiadami, a także z wyjątkiem — rzecz, zdawałoby się, dziwna — samego pana Otisa. Jakkolwiek pan Otis niezmiernie lubił młodego księcia, zasadniczo nie uznawał tytułów i, mówiąc jego własnymi słowami „miał pewne obawy, aby denerwująca atmosfera, w jakiej żyje rozmiłowana w światowych rozrywkach arystokracja, nie osłabiła zdrowych zasad republikańskiej prostoty". Te jego zastrzeżenia zostały jednak zupełnie pominięte i gdy w kościele Św. Jerzego przy Hanover Square kroczył wzdłuż nawy obok córki, wspierającej się na jego ramieniu, nie było, o ile wiem, w całej Anglii, jak długa i szeroka, dumniejszego odeń człowieka.

Po skończonym miodowym miesiącu książę i księżna przyjechali do Canterville Chase i w sam dzień przyjazdu po południu powędrowali piechotą na samotny cmentarzyk pod sosnowym lasem. Było zrazu wiele trudności z ustaleniem napisu na płycie grobowej sir Simona, ale w końcu postanowiono wyryć jedynie inicjały imienia i nazwiska starego pana oraz wiersz znajdujący się na witrażu biblioteki. Księżna przyniosła ze sobą cudowne róże, które rozrzuciła na grobie, po czym, postawszy jeszcze chwilę w milczeniu, weszli do zrujnowanego prezbiterium starego opactwa. Księżna usiadła na powalonym filarze, a mąż położył się u jej stóp paląc papierosa i wpatrując się w jej piękne oczy. Nagle odrzucił papierosa, ujął ją za rękę i rzekł:

— Wirginio, żona nie powinna mieć żadnych tajemnic przed mężem.

— Cecilu, kochany, ja nie mam przed tobą tajemnic.

— Owszem, masz — odpowiedział z uśmiechem. — Nie opowiedziałaś mi nigdy, co się z tobą działo, gdy byłaś zamknięta z duchem w podziemiu.

— Tego nie mówiłam nikomu, Cecilu — odparła z powagą Wirginia.

— Wiem. Ale mnie mogłabyś powiedzieć.

— Nie proś mnie o to, Cecilu, bo nie mogę o tym mówić. Biedny sir Simon! Wiele mu zawdzięczam. Nie śmiej się, Cecilu, tak jest naprawdę. On mi ukazał, czym jest życie, jakie znaczenie ma śmierć i dlaczego miłość mocniejsza jest od obojga.

Książę powstał i tkliwie ucałował żonę.

— Możesz sobie zatrzymać swój sekret, bylebym ja posiadał twoje serce — wyszeptał.

— Ono zawsze było twoje, Cecilu.

— A kiedyś opowiesz to naszym dzieciom, prawda? Wirginia oblała się rumieńcem.